

## **Jan Maciejewski: Podjąć wyzwanie samotności**

Chodzi mi o to, żeby mówiąc wprost – nie żyć tym, czym żyje ulica. A to wbrew pozorom nie jest takie łatwe. Nie wystarczy wypaść z jednego obiegu – wzruszeń, oburzeń, hierarchii i podniet. Trzeba jeszcze wpaść w jakiś inny. Kontrrewolucja, jeśli już mamy posługiwać się tym hasłem wywoławczym, polega dzisiaj w największej mierze na tym, czy ci, którzy chcą ją przeprowadzić, będą żyli cyklem liturgii, czy cyklem świata. Do kogo będą się modlili – mówi Jan Maciejewski, autor „Milczenia Katedry”, w wywiadzie udzielonym Teologii Politycznej.

**Bartosz Mariański (Teologia Polityczna):** „Bardziej się coś kończy, czy może jednak zaczyna?” – takie pytanie umieścił Pan we wstępie do swojej książki. W felietonach i portretach widać ten charakter „czasu pomiędzy”, pewnej niepewności i zamroczenia – czy Pana książka chce raczej dać jakąś, nawet jeśli niepełną, odpowiedź na to pytanie, czy jest może raczej dopiero poszukiwaniem takiej odpowiedzi?

**Jan Maciejewski (autor książki „Milczenie Katedry”):** Wydaje mi się, że w czasie wzmagających się coraz bardziej apokaliptycznych nastrojów już samo postawienie tej wątpliwości – koniec, czy może jednak początek – jest czymś potrzebnym. To przecucie końca jest z resztą z nami od dość dawna, bynajmniej nie od wybuchu wojny na Ukrainie ani początku pandemii. Przypomniałem sobie ostatnio, że latem 2018 roku zrobiliśmy numer „Plusa Minusa” poświęcony końcu

świata i temu, że żyjemy od wielu lat w cieniu nadciągającej katastrofy. A przecież z dzisiejszej perspektywy tamten czas może się nam wydawać sielanką. Nie było nad nami ani widma wojny, ani pandemii, ani gospodarczej zapaści. Cóż takiego się więc działo?

Byliśmy znużeni – tu jest pies pogrzebany. Katastrofa – ta prawdziwa, rozstrzygająca, taka, która kończy raz na zawsze pewien etap – nie jest jakimś gwałtownym tąpnięciem, ale wzbierającym powoli i nieuchronnie poczuciem zmęczenia, zniechęcenia, nudy. Zwłaszcza ta ostatnia jest wyjątkowo niedocenianym i lekceważonym zjawiskiem. A w wyrażeniu „zabijanie czasu” kryje się już zapowiedź jakiegoś samobójczego gestu, odruchu. Hannah Arendt pisała o czarnym duchu nudy, który opanowywał Europę w przededniu wybuchu I Wojny Światowej. I rzeczywiście, kiedy czyta się wspomnienia, pamiętniki z tamtego czasu uderza atmosfera ulgi, z jaką witano wojnę. „Nareszcie coś się dzieje! Zrzucimy z siebie ten nieznośny balast codzienności, urządzimy sobie wakacje od życia”. Proszę sobie przypomnieć Hansa Castorpa, który na wieść o wojnie opuszcza sanatorium Berghof, ale nie z poczucia patriotycznego obowiązku. On po prostu nareszcie ma dokąd uciec. Uciec, w pierwszej kolejności, od samego siebie. Wielka wojna była wybawieniem od prawdziwej zapaści, katastrofy bezsensu. Od nudy.

W tym więc sensie na pytanie, czy bardziej coś się kończy, czy może jednak zaczyna, każdy z nas powinien odpowiedzieć we własnym imieniu. Nuda zawsze jest zapowiedzią końca, nadzieja – początku. Ale jest oczywiście coś jeszcze, ta bardziej globalna perspektywa. „Co mi z tego, że będę żył nadzieją, kiedy świat dookoła zacznie się walić”. Niech Pan zwróci uwagę na to, czym jest w swojej istocie chrzest, pierwszy i najważniejszy sakrament Kościoła. To przecież nic innego jak potop. W

modlitwach odmawianych w jego trakcie, ale też w samej symbolice tego obrzędu jest to powiedziane bardzo wprost. Woda niszczy stare formy, rozpuszcza substancję, powoduje chaos i zniszczenie. To jednak dopiero pierwszy etap, po którym następuje wynurzenie się nowego, zregenerowanego świata i człowieka. Chrzest niszczy w nas starego człowieka i powołuje do Bożego dzieciństwa, tak jak potop musiał najpierw pokryć cały świat, żeby go odnowić. Z perspektywy chrześcijańskiej, sakramentalnej im bardziej definitywny koniec, tym radośniejszy następuje po nim początek.

**W felietonie otwierającym całą książkę „Na początku był wrzask” opisuje Pan geniusz Bacha, postaci powracającej w całym dziele, a także w ogóle geniusz człowieka, w kategorii wyrastania z tego tytułowego, pierwszego „wrzasku”. Czy można powiedzieć, że Pańska książka też wyrasta z takiego biograficznego krzyku?**

Oczywiście. Wszystko wyrasta z tego krzyku. Bo niby skąd by miało się brać, jak nie stamtąd? Pisanie jest do niczego, jeśli nie jest autobiograficzne. Nie w sensie opowiadania swojego życia innym, ale przeżywania go razem z tymi, do których się pisze. Dzielenia się własnymi radościami i rozpaczami. Zdawania sprawy z jakiegoś wewnętrznego napięcia, na którym w ogóle zasadza się cała instytucja pisania, zwracania ludziom głowy tym, co się dzieje w moich myślach. Jeżeli coś nie zostało przeżyte, to niby jak miałyby zostać opisane? To znaczy, jasne, że można bawić się w takie rzeczy, być chłodnym, zewnętrznym analitykiem rzeczywistości. Ale to nigdy nie wydawało mi się specjalnie ciekawe ani potrzebne.

Jarosław Rymkiewicz na samym początku „Kinderszenen”, zanim jeszcze pojawiły się te wszystkie opisy okrucieństwa, przemocy i krwi, pisze o dniu, w którym rodził się jego syn. Kilkadziesiąt lat po Powstaniu, w mieście, którego miało nie być, dwoje Polaków – członków narodu, którego również miało nie być – jedzie do szpitala, w którym przyjdzie na świat ich syn. Cała ta książka nie miałaby swojej mocy ani znaczenia bez tego krótkiego, autobiograficznego preludium.

Ten felieton, o którym Pan wspomniał, „Na początku był wrzask”, wziął się stąd, że moja córka urodziła się na początku kwietnia. A to był akurat wyjątkowo ciepły początek wiosny, więc drogę ze szpitala do domu pokonaliśmy piechotą. Szliśmy w trójkę wśród wybuchającej akurat przyrody, to był akurat jeden z tych kilkunastu dni w roku, kiedy praktycznie na naszych oczach świat, mówiąc Leśmianem, roznicestwia się liściasto. I dotarło do mnie wtedy, że przyroda podejmuje dokładnie ten sam wysiłek, który kilkadziesiąt godzin wcześniej musiała podjąć moja żona. I że na początku każdego piękna, każdego życia, dzieła i geniuszu, jest wrzask bólu. I była z jednej strony ta rześka, niewinna zieleń dookoła nas i małe, drobne życie na moich rękach, a z drugiej – ten akt pierwotnej przemocy, bez którego nie byłoby ich obojga, wiosny ani Anieli.

To są rzeczy, których nie da się nigdzie wyczytać, w żadnej książce, treść tamtej chwili nie znajdowała się w słowach – widać to po tym, jak bezradnie próbuję ją opowiedzieć – ale w słońcu, zapachu, ciszy pustej ulicy.

**Oswald Spengler kiedyś napisał, że „Pewnego dnia ostatni portret Rembrandta i ostatni takt muzyki Mozarta przestaną istnieć – chociaż może pozostać pokolorowane płótno i karta z nutami – ponieważ zniknie ostatnie oko i ostatnie ucho zdolne do odbioru ich treści”. W tytułowym „Milczeniu katedry” pojawia się podobny wniosek w kontekście słynnego pożaru katedry Notre Dame i prób jej odbudowy. Czy to oznacza jednak próżność wysiłków odbudowy?**

Pana pytanie jest tak naprawdę o to, z czego wyrastały średniowieczne katedry, z tą najśłynniejszą na czele. Wiemy, że nie z pychy architektów – większość budujących nie dożyła efektu końcowego, najczęściej rodzili się, kiedy budowa już trwała, umierali zanim się skończyła. Może byli więc od nas lepsi, szlachetniejsi? To również mało prawdopodobne, upadek człowieka wydarzył się raz i wywiera ten sam wpływ na naszą naturę w każdym czasie, wszystkie epoki są tak samo dotknięte grzechem pierworodnym. Jeśli chodzi o techniczną stronę przedsięwzięcia, to oczywiście punkt zapisujemy na koncie współczesnych budowniczych. Co więc mieli oni, że potrafili coś takiego stworzyć, a czego brakuje nam, że nie potrafimy tego nawet powtórzyć?

Wielkość sztuki rodzi się w niedopowiedzeniu, gotowości, żeby w odpowiednim momencie – mówiąc wprost – zamknąć się. Zżyć się z tajemnicą i szanować jej prawa w dziele tworzenia. Podejmować się tego, co niemożliwe – dzieła współtworzenia, a właściwie powtórnego stwarzania świata, poważać się na obrazoburczą ambicję przyłączenia się do zadania wykonanego przez Pana Boga. Jednocześnie znając

swoje miejsce w tym szeregu. Szanując ciszę i respektując tajemnicę, tkwiące wewnątrz każdej materii, w jakiej twórca wykonuje swoją robotę, nieważne czy są to dźwięki, barwy, słowa czy kamienie.

Jest taki piękny wiersz Tolkiena, którego fragment brzmi: „Człowiek, stwórca pomniejszy / Stwarza świat w każdym ze swych wierszy”. Pomniejszy stwórca – to najpiękniejsza definicja człowieczeństwa z jaką się spotkałem. Jest tam dokładnie tyle pokory i dumy, świadomości własnych słabości i powołania, ile nam potrzeba do życia.

**W Pańskiej książce pojawia się taki wątek aktualności kontrrewolucji i czynnego konserwatyzmu, próby wyrwania z takiej sennej idylli do jakiegoś działania, które w książce przewija się w formie walki, np. bitwy o język albo „wojny na śmierć i życie wieczne”. Jak w takim świetle widzi Pan literacki konserwatyzm „świętyn-twierdz”, który głosi „przetrwanie nocy” czasów i postawę zamkniętego w wierzy, kontemplującego starca?**

Zdolność do postawienia się obok, świadomego wyłączenia się to jedno, odnalezienie niszy wśród skrzywdzonych i poniżonych przez współczesny świat – już coś kompletnie innego. Mówię tu o skrzywdzeniu w sensie symbolicznym, nie ekonomicznym. Poczuciu, że świat zszedł na psy przy jednoczesnym hodowaniu poczucia wyższości nad gnijącą kulturę. To drugie jest po prostu modelem biznesowym, jeśli możemy w ogóle mówić o biznesie w przypadku takiej branży, jak pisarska. W księgarniach takie książki powinny stać w dziale „ogólne narzekanie na wszystko”. Albo „umierać, ale powoli”.

Czymś zupełnie innym jest jednak podjęcia wyzwania samotności. Niekoniecznie tej fizycznej, raczej chodzi mi o to, żeby mówiąc wprost – nie żyć tym, czym żyje ulica. A to wbrew pozorom nie jest takie łatwe. Nie wystarczy wypaść z jednego obiegu – wzruszeń, oburzeń, hierarchii i podniet. Trzeba jeszcze wpaść w jakiś inny. Kontrrewolucja, jeśli już mamy posługiwać się tym hasłem wywoławczym, polega dzisiaj w największej mierze na tym, czy ci, którzy chcą ją przeprowadzić, będą żyli cyklem liturgii, czy cyklem świata. Do kogo będą się modlili. Tylko Kościół podsuwa nam model życia, który jest na tyle kompletny, że jest w stanie wyprzeć, zastąpić tą szamotaninę, z której próbujemy się wyrwać. Ustala rytm roku i dnia. Podsuwa nam świętych do wspominania i proszenie o wstawiennictwo z większą celnością niż algorytmy Netflix'a serial do obejrzenia. Największym kontrrewolucjonistą wszechczasów był św. Benedykt z Nursji. Człowiek, który tak bardzo chciał być sam, odsunąć się od cywilizacji, że aż stworzył nową.

**Cała książką emanuje wyjątkowym poszukiwaniem realnego, namacalnego przeżycia – w jednym felietonie pisze Pan o pogrzebach jako właśnie takich bliższych prawdziwemu życiu, wszystkie natomiast z „Portretów” wskazują czytelnikowi żywą postać jakiegoś człowieka. Czy uznałby Pan takie poszukiwanie za jeden z celów tej książki, jak i pisania w ogóle?**

Rzeczywiście, dużo bardziej wolę pogrzeby od ślubów, wydają mi się bardziej szczerze, jakoś mniej „ostygłe”. Może też chodzi o to, że na tych drugich zazwyczaj nie ma fotografów, bo chyba nic tak nie jest w stanie

zniszczyć autentyczności jakiegoś wydarzenia jak poczucie, że nieustannie – chcąc nie chcąc – pozuje się w czasie jego trwania do zdjęć. Coś okropnego.

A co do portretowej części tej książki, to próba spotkania, nawiązania kontaktu z ludźmi, miejscami, o których piszę, nie była celem tylko środkiem. To jest dokładnie lustrzane odbicie w stosunku do tego, o co pytał Pan na początku – autobiografizmu w pisaniu. To jest poszukiwanie konkretności, namacalności tych portretowanych obiektów. Każdy z nich musiał dla mnie nabrać twarzy, nawet jeśli chodziło o miasto. Dopiero wtedy mogłem mieć nadzieję, że mnie nie okłamie ani nie oszuka. Choć w miarę szczerze odpowie na pytanie, jakie do niego miałem.

Jak to jest być miastem, jak Wenecja, skazanym na zagładę; a do tego takim, w którym wszystko dzieje się zawsze trochę wcześniej niż na całej reszcie Starego Kontynentu? Co miała w głowie Maria Judina, niepozorna pianistka, wysyłając list do Józefa Stalina, w którym pisała, że będzie się modlić do Boga, żeby wybaczył mu jego grzechy? Jak to jest być tak popularnym i rozchwytywanym, a jednocześnie nudnym i głupawym autorem jak Yuval Harari? To są rzeczy, których można się było dowiedzieć tylko z pierwszej ręki, bez pośredników. I tylko widząc ich twarze można było sprawdzić, czy jakiś nerw im nie drgnie. Nie zdradzi oszustwa.

*Z Janem Maciejewskim rozmawiał Bartosz Mariański*